# ZIEMIE POLSKIE

NAPISAŁA

MARYA KONOPNICKA

Z RYSUNKAMI W. RADZISZEWSKIEGO

OSOBNE ODBICIE Z DZIEŁA: »POLSKA, OBRAZY I OPISY«

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ
SKŁAD GŁÓWNY W ADMINISTRACYI »MACIERZY POLSKIEJ« W GMACHU SEJMOWYM
1904

M.N.K.
117.025
137 „Dep"

MUZEUM
im. Konopnickiej

# ZIEMIE POLSKIE

MUZEUM ZAKŁADU IM. KOSOPA
185

# ZIEMIE POLSKIE

NAPISAŁA

MARYA KONOPNICKA

Z RYSUNKAMI W. RADZISZEWSKIEGO

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ
SKŁAD GŁÓWNY W ADMINISTRACYI »MACIERZY POLSKIEJ« W GMACHU SEJMOWYM
1904

MUZEUM
ŻARNOWIEC
M. Konopnickiej
531 - 262

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

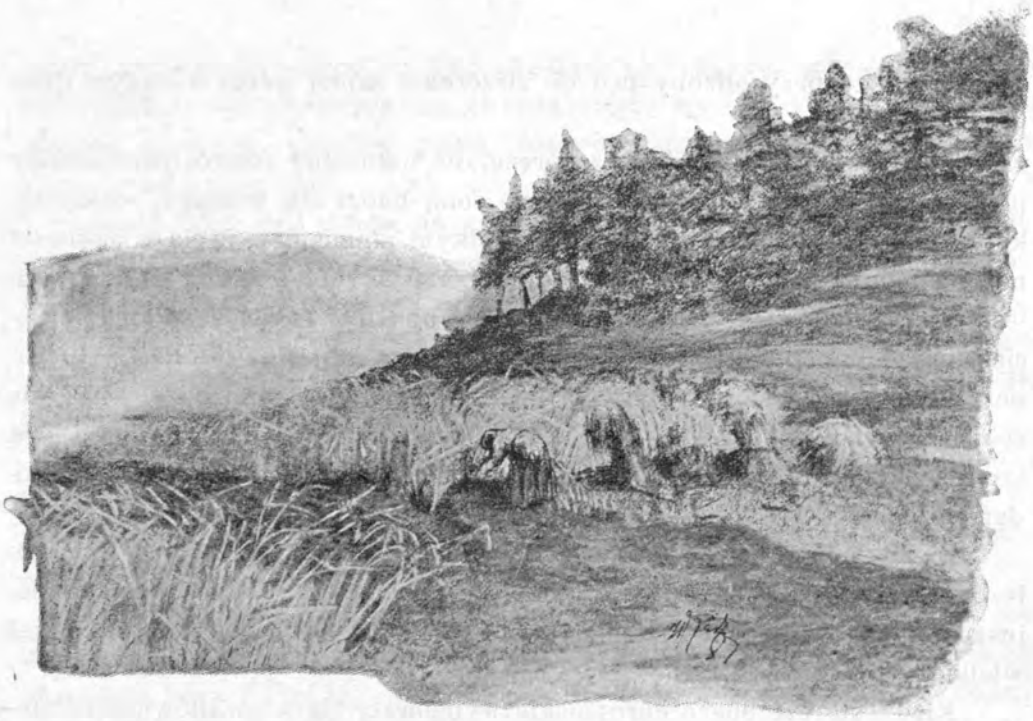

I.

Oblicze ziemi naszej oddycha szerokim spokojem Jest to spokój pogody i siły.

Ziemia ta czuje się sobą. Czuje się całością i jednością w sobie. Czuje, że na dziedzinach swoich siedzi dobrem prawem.

Granic jej obejścia nie trzeba szukać po spornych przestrzeniach i łupieżczych szlakach, które jeden wiek wytycza, a zaciera drugi. Sama natura sypała graniczne kopce jej gór; sama natura nalewała bezdna jej granicznych mórz; sama natura puściła w bieg rzeki po jej granicznych rubieżach.

Dokumenty jej osiadłości leżą w dziejach jej rozwoju widne i na wiek wieków wszystkim narodom czytelne.

Rosła ona jako rośnie dziecię, samą siłą życia, do naznaczonej przez przyrodę miary.

Tam, gdzie było jej pierwotne gniazdo, i ona była już w zawiązku cała. Jej wzrost, jej przybieranie spółszczepowych i spółrodowych dziedzin, to akty koniecznej rozprężliwości dążącego do osiągnięcia pełni swojej

organizmu; to przyrodzony pęd do ziszczenia samej siebie w danym dziejowym momencie.

To prawie nietyle zdobycze oręża, ile naturalny rozwój samowiedzy plemiennego ducha, którego czucie się sobą budzi się, wzmaga, rozszerza, kojarzy i prze do wyjawienia się jednolitym płomieniem życia w skończonej, po ostatni wrąb swój pełnej i zamkniętej w sobie całości. Która praca jest pracą wieków; a choć podczas przerwaną być może, zamkniętą przecież, przed dopełnieniem swych dziejowych zadań, nigdy nie bywa. Kierunek tylko parcia się odmienia, a duch, zatamowany w drodze, którą się rozprężał wzdłuż i wszerz, całą mocą uderza wgłąb i wzwyż, pracą swą konując nie już przybieraniem powierzchni życia, ale utwierdzaniem fundamentów jego i wzbijaniem szczytów.

Ziemia nasza narodziła się czasu pogody i ciszy. Było to — musiało to być — jakoweś słoneczne zaranie; jakaś promienna, tęczowa chwila sojuszu pomiędzy niebem a ziemią; jakiś mocny i płodny wiew życia; jakieś wielkie »jaro« przyszłości.

Kiedy starsze susze europejskie wydzierały się w gwałtownych kataklizmach z prastarego morza, rwąc po kawale wyspy i półwyspy swoje wprost z jego zapienionej, ryczącej gardzieli; kiedy wynurzały się z walki tej poszarpane, niepełne w sobie, i po dziś dzień na spornem terytoryum żywiołów stojące, — ziemia nasza leżała cicha i skupiona pod świętą tajemnicą wód, w głębokiem zadumaniu stawającego się w łonie jej żywota.

W tych to wiekowych przedczasach, tłuste, rodzajne namuły kładły się po niej nieprzepłodzoną warstwą czarnoziemów; solne kryształy osadzały błyszczące osie w jej zatajonych komorach; potężne butwiele wodorostów czyniły gniazda i żyły torfiaste, a przedpotopowe zgorzeliska praborów, wsączywszy żywice swoje w szerokie pomioty piasków słonecznymi kruchami bursztynu, waliły się po sobie w olbrzymie zasieki kopalnego węgla.

Aż gdy się wypełniły czasy, pękło i samo złuskało się na niej zwierciadło morza, które się przed wiekami o Ural jednym wrębem, a o Karpaty drugim było zaparło, a ona razem z tą najmłodszą wschodnio-europejską suszą, która później imię Sarmackiej Równiny dostała, wyjawiła się słońcu w łagodnych, rozległych, lekko falujących płaszczyznach i wyżach tak, jak ją umiatały pierworodne wody, wzbierając wyniosłością od wschodu ku zachodowi swemu; środkiem nieco zaklęsła, odru-

zgami zwierciadła onego po dwu okrajach osrebrzona; zębatą koroną tatrzańskich turnic ukoronowana, twardą więzią wysoko wzbitej piersi dział wodom czyniąca; szeroka, polna, roztworzysta, pełna błogosławieństwa życia i łaski płodności.

Wnet Góry jej i Górce, na granitowych trzonach siadłe rozbłysły słonecznymi szczyty; wnet ponalewały jeziora mrokiem i światłem swoje malachitowe czasze i czasze z szafiru.

Wnet z tajemnych źródłowisk buchnęły wody słodkie, żywe, grające; wnet rozstrumieniły się rzeki i ruczaje podolami swemi, a ziemia stała się jakoby harfa strojna, osnuta w srebrne i dźwięczne promiona.

A już przymorskie płaskocie opadały w rozciekliny i łęgi; już dymiły tchem ciepłym podmiękłe oparzeliska i bagniste grząsła. I zamroczyły się puszcze, zahuczały bory, a nieschodzone ostępy i knieje srogich wielgolasów obezwały się porykiem i chrapaniem zwierza.

Wszakże samem łonem ziemi, w obiodrze gajów ujętem, poczęły słać się łany, przełany, szumem zbożowym i szeptem traw dźwięczne; poczęły słoneczne niwy i łęgi iść, a wstępować na pagóry i zestępować w doliny, niosąc z sobą okwitość swoją majową i złotą.

A wtedy świat stał się jakoby cichszy, jakby bezpieczniejszy w sobie.

Do huku mórz szturmujących południowe i zachodnie lądy, które się czasu wojny tej nie rozdziewały ze skalnych pancerzy; do trzasku i łoskotu dłut, któremi żywioły-olbrzymy rzeźbiły w dzikim zamęcie linie graniczne spornych swoich dziedzin; do ogłuszającej i morderczej wrzawy zajadłego boju z naturą, przybył ton nowy, szeroki, potężny ton zgody z nią, przymierza, współpracy. Do skłóconego chóru posępnych i okrutnych głosów przybyła nuta polna, pogodna, nuta ufności, nadziei.

Człowiek-Adam, człowiek-oracz wyjawił się tu w istotnem przeznaczeniu swojem; wyjawił się w błogosławieństwie i słodyczy pracy, a nie w jej klątwie prastarej.

Praca jego nie była burząca; ona budowała przyszłość. Nie była ani podstępnym, ani gwałtownym rabunkiem jednodniowego łupu, na siłach wrogich, śmiertelnem ostrzem przeciw niej zwróconych. Była prawa, prosta, uczciwa i uczciwość i prostotę w pierś ludzką szczepiąca. Była zapładnianiem ziemi, która chciała rodzić. Była opatrzeniem jutra i przyszłych pokoleń.

Tu razem z pługiem wodził oracz duszę swą po łanie; duszę śpiewną, zbożną, zadumaną o jutrze i jak łan runiejącą silnym, świeżym posiewem,

który życie tylko co po jej bogatej nowiźnie rzuciło. Tu wodził troskę i nadzieję swoją. Tu orał i śpiewał razem. Tu się urodziła mocna pieśń życia, pieśń nadziei.

Tu się poczęła wielka, wyroczna praca uduchowienia każdego źdźbła ziemi...

Praca, dla której człowiek na świat się narodził, aby wypełnioną była.

Nie był tu oracz niewolnikiem ziemi; on znał się jej synem. Za macierz ją znał. Za macierz dobrą, pamiętliwą, szczodrą. Miłość ziemi-rodzicielki, ziemi-żywicielki pokoleń wyjawiła się tu najsilniej, najżywiej, najbezpośredniej.

Tu ziemia rozmnożyła cudowne swe moce; rozmnożyła gniazda i nasiona.

Tu przyszła obfitość rodów i obfitość chleba.

A za obfitością rodów przyszło życie pospólne, opolne, gromadne, wiecowe; a za obfitością chleba przyszła otworzystość serca i ręki, łaskawość przyszła, ludzkość, zaufność, bezpieczność. Przyszła pogoda czoła i siła ramienia. Przyszła także bezobronność tak wielka, tak dziecięca prawie, iż męże w dalekie kraje stąd idący, gęśle tylko z sobą, ku pocieszeniu serca, z pieleszy swoich brali, a nie wiedzieli, jako indziej brat nie chadza bez oręża na zaproże brata.

Zaczem zdumiewali się ci, którzy widząc mężów onych tak prostych i ufnych w sobie, pytali: skądby szli?

A oni szli istotnie z ziemi, której pieśń też orężem bywa.

A tak, uczynione jest miejsce ukojenia sięgającego w głąb życia innych ludów szeroką falą pogody i ciszy.

Tak uczyniona jest kraina spokoju i kraina pracy dla przyszłości Ziemia, która hospodyni na zbożowych łanach. Ziemia dostojnego oddychającego pogodą oblicza.

Tak uczyniona jest macierz rodów polnych — Polska.

II.

Organiczna jedność ziem polskich nie wyłącza bogatej rozmaitości tak ich wewnętrznego ukształtowania jak i zewnętrznej postaci.

Owszem, jedność ta obejmuje całe, tak bardzo odmienne w sobie światy, że przyrodzona ich różność stanęła jako potęga czynna, wyjawiająca się w rozmaitości form życia spółrodowych, a jednak niezmiernie różniących się między sobą gromad ludzkich, światy owe zamieszkujących jak górali, puszczaków, pomorców, pojezierzan i właściwych, na równiach polistych osiadłych, polan. Różnice te, głęboko sięgające w życie w najpierwszem jego społecznem zaraniu, wyprzedziły niewątpliwie wszelkie etnograficzne podziały ziem polskich oraz zamieszkującej je ludności i ustalone już były na mocnym gruncie przyrodzonych właściwości ziem tych, tudzież wyrobionych i nabytych cech siedlącego się na ziemiach tych narodu, kiedy przyszły historyczne nazwy Chrobatów, Ślązaków, Podlasiaków, Mazurów, Rusinów i tak dalej. Wszystko to było niegdyś krewne i razem się przed wiekami Bramą Narodów na oną najmłodszą suszę tej połaci świata parło, pchnięte jednym świeżych sił życia wybuchem. Raz wszakże siadłszy na dziedzinach swoich, czy to własnowolnego obioru, czy wyparte ku nim poczęło wnet nasiąkać przyrodzoną rozmaitością owych dziedzin, wnet

iść a rość po nich, po najłacniej mającej się ku życiu pochyłości. A to aż do wyrobienia, do wykształtowania w sobie bardzo znamiennych, ściśle do wymagań współżycia i współpracy z naturą przystosowanych właściwości, które nie omieszkały z biegiem czasu wpłynąć przeważnie tak na fizyczny, jak i na psychiczny ustrój onych spółrodowców, kładąc na nich głębokie, niezbyte piętna. I to w takim stopniu, że kiedy historya głos zabiera, a kronikarze imają się pióra, już o tych spółrodowcach mówią jako o rozlicznych, nie tylko wybitnie różniących się między sobą, ale nieraz wrogich sobie ludach i ludkach.

Owszem, pomijając owe przedhistoryczne, od natury dziedzin zależne tworzenie się ważnych i głębokich różnic w ich zaludnieniu, nietylko przyjmują ludki owe za odrębne etnograficznie jednostki, ale przez czas bardzo długi i o wspólności przyrodzonej, o jedności samychże dziedzin, mętne mają pojęcie.

Tak silne bowiem różność ich przyrodzona wyciska na nich piętno, iż w pierwszem zaraz wrażeniu przedstawiają się one jako odrębne i zamknięte w sobie krainy. Więcej nawet: jako odrębne i zamknięte w sobie światy.

Tak więc, zanim ludzie ziemie te dzielili, już one dzieliły się same przedziwną rozmaitością swoją. Dzieliły się rozbudową gór i dolin, głębokim mrokiem puszcz i świetlistością jezior, hukiem mórz i milczeniem stepów, szerokim oddechem równin i zatajonym ziewem przepaścistych bagien.

Dzieliły się tem wszystkiem, czem je w szczególny jakiś sposób nadała, wywianowała, ubogaciła, lub upośledziła przyroda. I ten jest podział ziem tych naturalny i co za tem idzie pierwotny.

Był to więc nietylko dobry instynkt, ale także narzucająca się odrazu oczywistością swoją konieczność, że Polskę niegdyś dzielono na »Ziemie». Ziemie to bowiem istotnie i przyrodzona ich różność były właśnie tem, co się domagało uwzględnienia w pierwszej linii, co się narzucało samo, jako doraźny wyraz wszelakich rozróżnień.

Podział ten obejmował zrazu niewątpliwie tylko istotnie różniące się przyrodą swoją dziedziny, to jest takie, które miały naprawdę własne swoje oblicze i własną skończoną w sobie postać. Takie, które naprawdę były jakby odrębnymi światami.

One też jedne, te odrębne światy, miały moc wytwarzania odrębnych warunków i czynników życia, a zatem i odrębnych cech jego zewnętrznych.

Z czasem dopiero, bądź zwyczajowo, bądź w dopatrzeniu drobniejszych różnic i odmian, podział na ziemie rozszerzył się, rozpowszechnił i objął sobą bardzo już nieznacznemi cechami wyodrębniające się całości, które lubo w następstwie historycznego rozwoju znów się zrosły i wytworzyły pewne zbiorowe prawno-polityczne jednostki, zachowały przecież na długo starą nazwę dla niektórych chociaż swych części.

A tak oblicze i postać ziemi naszej nigdy dla dziejów naszych obojętnemi nie były, ale z tysiąca mocnych włókien zasnowały historyczny postaw już przed wiekami.

III.

W tej wszakże przedziwnej rozmaitości organicznego ukształtowania Polski jest rys naznaczony najsilniej, rozwinięty najszerzej, wyżłobiony najgłębiej w jej obliczu. Rysem tym jest wielka jej polność.

Ona to nadaje Ziemi naszej koloryt, charakter i ton tak wybitny, że nie mają mocy zatrzeć go i przeprzeć ani Tatry dźwigające na zawrotną wyżynę poszarpane wierchy, ani morza bijące zapienioną pletwą o dwubrzeże nasze; ani pojeziorne rozcieki Prus, Inflant, Kurlandyi; ani zatajone puszcze Litwy, ani bagniste zapadliska kotliny poleskiej, ani ukrainne, stepowe rozłogi.

Wszystko to ma cechę drugorzędności, drugoplanowości jakby, choć wzbogaciło nam ziemię majestatem i oryginalnością niezwykłego piękna. Polność wszakże stanowi istotny rdzeń naszego narodowego życia, naszego duchowego rozwoju, jest syntezą wszystkich rysów oblicza ziemi-matki

Jakoż gniazdo nasze nie leżało na wysokiej skale, choć orła mamy narodowym znakiem. Nizko było ono usłane i całkiem przyziemnie. Wypiastowały nas równie szerokie, przestrzenne, wolne; wyhodowały role chlebne, dorobne, łęgi głębokie, zapaszyste, bujne.

Jak oko puścić od Wisły po Odrę, ścielą się szczere pola zielenią i złotem. Spojrzysz za wiatrem, a tu ci się zda, kraj cały gdzieś idzie,

gdzieś płynie. Jakowaś mocna fala życia wznosi się i opada nieustającym tchem pracy na tych spokojnych, uciszonych ziemiach.

Jest to jak gdyby rytmiczne bujanie naszej odwiecznej koleby. Synlud dawno już od niej odrósł, dawno zmężniał w sobie i w różne światy poniósł myśl i siły. A stara Macierz-ziemia ciągle kołyskę niemowlęctwa jego buja łagodnym, słodkim, nawpół sennym ruchem.

Buja i śpiewa.

I oto idą, płyną Mazowieckie, Kujawskie, Wielkopolskie łany morzem traw i zbóż.

Idą, płyną w majowych runiach wiosny w śniadej kurzawie wykłoszonych pól; w barwistej siedmiokrasie łęgów, w mocnych woniach sianokosów, w siności dymów wioskowych, w nieprzemożonym smętku ugorów, w złotych ścierniskach jesieni, w oparach świeżych rozorów, w taśmach miedz i przęsłach opłotków; w rozechwianiu wierzb nadwodnych, w strzelistości przydrożnych topoli.

Idą, płyną gaje, lasy, jakoby wyspy ciemniejszej, zwartszej zieleni na morzu tem siadłe. Idą, płyną obłoki niebem to modrem, to szarem a falistemu ruchowi temu wtóruje rytmiczna pieśń szmerów i poszumów polnych, zanoszenie się wichrowe borowych sosen i mocna gędźba wód mnogich, któremi cała ta dziedzina mieni się, gra, świeci, modrzeje.

Wielkie jej rzeki dawno już wykipiały z górskich swych źródłowisk. Dawno przebiegły gęsto zarosłe stoki i podgórza. A teraz oto, dopadłszy polnych, szerokich roztoczy, zaczuły morza dech, zwolniły wartu, i spotężniałe obfitym przytokiem wód żywych, płyną w całej wadze i powadze swojej, niosąc na sobie statki pełne płodu swych bogatych ziemic.

Oto graniczna Odra, pokrewna Wiśle, po zielonym Beskidzie-Rodzicu, prze się wyżyną Śląska, przebiega zatajone moczary, brnie przez borowe bagna, chłonąc chciwie pomniejsze cieki wodne; czai się, skręca, prowadzi, omyla, aż póki się nie wybije na widne skróś pole, ciężka od leżących w niej przeznaczeń dziejowych. Zabiera Olszę cieszyńską i śląską Olawę; zabiera Małopianę, na którą książęta opolskie przez okienne błony komnat swych patrzały; zabiera Barycz, co się przez Wschowską ziemię naszą toczy; bieży pod Raciborz, pod Wrocław, pod Głogów, stare nasze lenna; ściąga strugi przez nieszczęsne pola lignickie płynące. Rzeźka, raźna, gospodarna, dźwiga szkuty, spławia tratwy, rozlega się okrzykami flisaczego ludu, popędza wielkie galary, czarną skorupą jak żółwie nakryte; pieni się pod siekącemi ją kołami parowców; wieje gęstym żaglem, jeży się lasem ma-

sztów, pluska mnogiem czółnem rybaczem i cała w dymach, w hukach, w świstach i rozpluskach wali przed się pełna ruchu, życia i pracy.

Aż gdy mgły wieczorne się wzbiją, gdy wstaną nadbrzeżne tumany, tysiąc mar, tysiąc wspomnień przemija smętnym korowodem nad tą wielką historyczną rzeką, której nurt z krwią naszą zmieszał się od wieków.

A wtedy słychać w jej głębokich szumach głuchą wrzawę minionych stuleci. Wtedy zaszczęka tam oręż i zbroica zasypana żwirem; ciemność i pustka obezwie się poomacku wartowniczem hasłem; war bitwy buchnie dziko i ugaśnie, aż wszystkie głosy i tętna zmieszają się w przeciągłym jęku, w mdlejących westchnieniach.

A to Warta rodowa, nad którą Polanie pierwszym się uwiązali rojem i zarabiali pierwszy plastr dziejowy piastowego miodu. Ciek jej kapryśny, nizkiem zabrzeżem sparty, pruje łęgi bogate i głębokie pasze, zapławia żyzne niziny wiosennym rozlewem; napawa ziemie dobre, ludem dorodnym osiadłe; oblewa grody starodawne możne, pamiętne, aż uderzy całą mocą pod zachodowe zorze i uczyni wraz z kujawską Notecią i Odrą wielkie międzyrzecze o troistym spławie, który się sam w sobie pomieścić nie mogąc, szerokie grzęzwy u Santoka i Drezdenka rozlewa.

A oto wyroczne Gopło, nad którem siedzi koronna Kruszwica; oto zwierciadło Ślesińskie, w którem się przeglądały Światowidy nasze. Wszystko to wody zadumane ogromną przeszłością, wody ważne, pełne w sobie jakiejś złotej baśni, która się tu opowiada w przeciągłych poszumach z wieku na wiek, z rodu na ród; pełne jakowychś wielkich, niedośpiewanych rapsodów, których ostatnie tony na harfie czasów nie rozbrzmiały jeszcze.

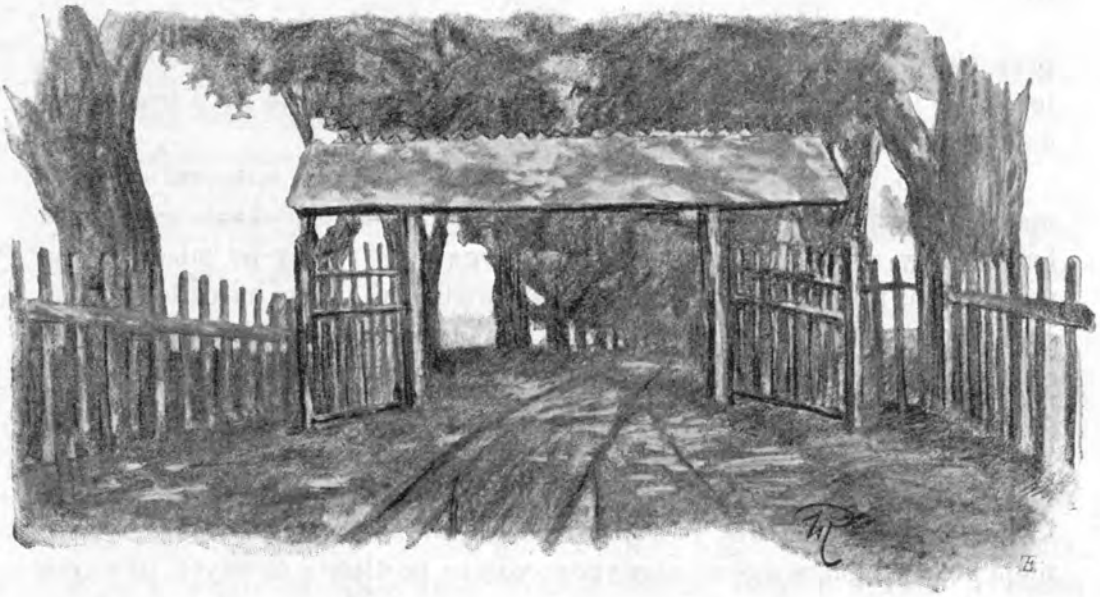

IV.

Ale na wschód od Gopła, od Warty, tam, gdzie niegdyś czerniały mazowieckie puszcze, pierś ziemi dźwiga się i opada głębokim, mocnym i żywiącym ruchem. Tam bije samo serce Polski. Miasta tu gęste, zasobne, przemyślne, jedne pracą licznych rojowisk ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów; inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem, jeszcze inne, nawpół sielskie prawie, rozciekające się po okrajach w dwory i w dworki, w polka, ogrody, w pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk warowny niegdyś, tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

Tu siedzi stare Płocko nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromem wzgórzu sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer; tu bohaterska Wola, tu Praga z przebitą piersią, tu Wisła i tu Warszawa. Wisła i Warszawa to prawie że nie miana grodu albo rzeki, ale hasła rodowe, obwoływane z wieku na wiek po strażnicach ducha.

Wsie tu rozbudowane mocno, gromadnie na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dufne w sobie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia.

A lud to kwieci się, modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to bieleje siwymi lnami płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skibie.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy; tu sierpy, jak miesiące nizko

przy ziemi chodzą; tu łęgi tętnią po rosie stadem spętanych źrebic i podjezdków; tu znojne skrzypienie płużyc, soch, lemieszy; tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale po wzgórzach brzozowe gaje, w lekuchnych szmerach chwieją majową zieleń młodych pędów; nad strugami stają rozpłakane, srebrne od łez wierzby z niekończącą się nigdy skargą swej żałoby na miedzach, na rozdrożach, na wygonach rysujących się wielkiemi liniami skróś łęgów i łanów, siedzą graniczne kopce okwitłe tarnią i głogiem, stoją prastare krzyże śród osik, jarzębin, topoli; rosochate grusze ścielą koliska szerokiego cienia.

A pola idą w dalekość jakąś siną, w jakieś ogromne przeźrocza coraz to bledszych błękitów, w jakąś różaność zórz, niecących się i ugasających nad niemi, w jakąś perłowość tumanów zwiewających się rankiem i wieczorem aż tam, het, precz, gdzie na ostatnim zrębie widnokręgu czernieją bory szumiące mocną niewypowiedzianą powieścią dawnych, dawnych czasów.

Gdzieś poryk nagły przeniknie powietrze, gdzieś się zaniesie huk młota, łoskot siekiery; gdzieś uderzy nagła wrzawa zmieszanych, natężonych głosów.

Od łąk, od strug, od progów chaty biją nawoływania rozciągłe, echowe; biją, biją zawodzenia fujarek pastuszych.

A przy chacie sad chrustem grodzony pali się od malw, od jaskrów, od słonecznikowych pozłocistych tarczy; a pod okienkiem pachnie grzęda ruty, szałwii, mięty i bożego drzewka. Za sadem, na bielniku, siwe płótna srebrnieją do słońca, a żóraw studzienny tu, to tam zaskrzypi z wysoka, a dym jałowcowy miesza się z zapachem świeżo pieczonego na klonowym liściu chleba.

Nad chatą, nad wioską, nad polem, pełne bladej modrości i bicia skowrończych piórek niebo przeczystą kryształową kopułą obejmuje świat, wymyte, zda się w świeżych rosach i rozkwitłe słońcem, zaś płomienieje od letniego skwaru; toczą się po niem chmury burzliwe, nawalne, przecinane czarną błyskawicą jaskółczych, niespokojnych lotów. Zaczem rozświetlone bladem złotem jesiennego ranka sieje na ziemię niewypowiedzianym urokiem przesłodkiej pogody i ciszy, w której przemijają po śródniebnych drogach długie ciągi lecącego na wyraje ptactwa.

A gdy przeminą, ugasa w sobie, mąci się i blednie, przyodziewa szarą płachtą deszczowych obłoków, aż skostnieje razem z ziemią w lodowych mgłach i mroźnych oparach.

Rankiem i wieczorem, w polu i w chacie, przy pracy i przy zabawie wybucha wieś pieśnią. Jak wody potoku z głębokiego zdroja, tak bije pieśń samorodna z zatajonych źródeł ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie z niewysłowioną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, weselem, oczynia uroczyste momenty życia prastarą obrzędową nutą, nosi się nad jary, nad łany, ugory; usypia dziatwę, ociera oraczowi pot z czoła, dodaje siły i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, aż się rozełka, zawodząca za tym wozem zaprzężonym w woły siwe, na którym chwieje się ostatnia domowina kmieca, zbita z desek trumna, i idzie płakać z sierotami pod cmentarne wrota.

A w bok od wrót cmentarnych, przy których rzadkie sosny w szczerym piasku stoją, szemrząc z wiatrem pacierze za pomarłe kmiecie; a pod wiankiem lip, klonów, topoli, pełen trzepotu gołębi i wróblich świegotów trwa z wieku na wiek ubogi kościół wiejski, mający w swej prostocie i powadze coś ze starych gontyn, gdy w nim zapachną woski i święcone zioła.

Miedzami łanów zbożnych, przydróżkami pokrytych pyłem gościńców, ciągnie tu w świąteczne rano lud strojny a rojny, skoro posłyszy dzwon ze starej wieży. A wtedy skróś ptasich przelotów i gwarów, skróś szumu lip i brzęku pszczelnych rojów, biją w niebo strzeliste wzdychania, łomot zaciśniętych pięści w przejęte skruchą piersi i falą przelewający się nad tłumem żarliwy, modlitewny poszept.

Aż się zaniosą wichrem głosy i w strop kościelny uderzą jak burza.

...Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...

A wtedy wszystko, co się mrówczą pracą krzątało po nizinach ziemi, dostaje skrzydeł i lotu, a całe podniebie pełne jest duchów prostych, bijących czołem o podsienie boże.

A tam, skróś wysady szumiących topoli, bieleje dwór starowieczny, z modrzewia stawiony dwór, którego belki głośne są od gniazd jaskółczych i od ich przeszłości.

Na niejednej tam ścianie kwieci się dyftyk zdobyczny, na niejednej złotnieje ryngraf po dziadach, pradziadach, a z nad łoża świeci dnem jasnem, ciemnieje żałosnem obliczem hetmanka Korony i Litwy. Cisza. Stary zegar gdański cyka jakieś minione godziny mocnej, rycerskiej i dziecięcej wiary. Gdzieś pod bielszym pułapem, z przed wieka echem przywarty, słychać poszept Sodalisów: ...*Ora pro nobis*...

Tu okna nizkie, szerokie, zielnikom kwietnym podobne; tu ganki one dzikim winogradem strojne, tu zadumane, srogie twarze dziadów, tu ściągnięte troską czoła ojców, tu młodość promienna rwie się do życia, do czynu, tu małoletnie chłopięta biorą chryzmat ideałów rodu i narodu.

Czasem na wzgórzu, w ostępie tarnin i dzikiego głogu zamajaczą ruiny rycerskiego gniazda i powieją tumanem podań starej, złotej sławy. Czasem jakaś mogiła polna przemówi głośno, surowo, donośnie, wielką swoją ciszą. Czasem głuchy bór zahuczy jak w trąby bojowe, czasem dreszcz przeleci polem, jak poszept tajnego hasła.

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewski szum Wisły. Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słucha jej gromkiego huku. Gdy ona potężnym nieokiełzanym pędem się zaniesie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona idzie a przechodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze.

W szumach jej słychać odwieczne rozhowory starego Beskidu — i srebrne drżenie potoków niosących do niej czyste swoje wody. Szerokie, spiżowe dźwięki Zygmuntowego koronnego dzwonu i szept harfiany czarnoleskiej lipy, odmawiającej psałterz wieków i pokoleń. Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San spieszy z pod Czerwiennych grodów; z nią łączą się i jednoczą święte wody Bugu nierozerwalną i wieczystą unią. Za nią idą gonne sosny naszych borów i królewskie dęby; idą złote pszenice i siwe lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyste dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrem przęsłem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy, bieży pod Toruń, którego poczerniałe wieże pełne są jeszcze widzenia wieczności; uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw roztwiera oboje ramion i zanim rzuci się w odmęt, potężnym, szerokim od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje tę ziemię, na której nam wyznaczyła wielką historyczną drogę.

Ale tam, gdzie Wisła dwojgiem ramion obejmuje ziemię, i ziemia chyli się i przykłania ku niej. Roztopiły się wzgórza, wyrównały brzegi, wstecz poszły lasy i gaje, ławice, wiśliska, ostrowy, a kraj uczynił się nizki, przepadzisty, płynny. Jak okiem sięgnąć, ścielą się prześwieże maje traw, z których błyskają grzbiety i porykują głosy bujnych cielic, brodzących w nieprzepasionych a głębokich łęgach.

Prerie to nasze, nasze Malborskie Żuławy, którym równe jeden Niemen tylko pomiędzy Tylżą a Ragustą czyni. Tymczasem na lewo i na prawo wód przybywa coraz.

Ziemia popruta krótkimi ciekami rzek przymorskich niezdolna objąć całej ich mnogości, jest jako sieć, przez której oka przelewa się żywe srebro bijących zewsząd ruczajów. Gęsto wprawione w szmaragdową zieleń traw stoją jasne szyby wodne, w których przegląda się kraj dziwny, pomglisty, głośny szmerem strumieni, pluskiem wioseł, ostrym krzykiem i trzepotem rybitw, mających tutaj wielkie swoje sejmy.

Inszy tu świat, insza piękność, inszy obyczaj żywota.

Tu naród szczudłuje, jak czapla, po wertepach wodnych, tu się funduje w groble, w tamy, w kanały, w stawidła, a podmywek i sieci więcej bodaj w chacie niż kos albo sierpów.

Ale im dalej ku północy, tem bardziej ugasa zieleń traw i zbóż, ustępując ławicom mokrego iłu, słonym morszczynom, szarości odpłuczysk i piasków. Aż przymknie się ostatni okraj ziemi i rozewrze trzy cudnie rzeźbione czasze wielkich swych zatoczysk i uczyni się nad nim szum morza, i otworzy się przed nim gościniec w świat cały, a mocny dech szerokich wolnych przestrzeni owionie go rzeźkością i siłą. Stań tam, pod grzmiącym hukiem fal, które runąwszy w przepaść dźwigają się z niej nieśmiertelnym ruchem, stań na ostatecznych cyplach Pucka, Połągi, Windawy, a spojrzyj w nieobjęte okiem roztocze Bałtyku. Tu jest nasz kres, tu granica nasza, palcem przyrody wskazana. Tu wielkie wschody i zachody słońca topią swój szkarłat i złoto w ojczystych rzekach naszych Wiśle, Niemnie, Dźwinie; tu dobiegają blaski starej naszej chwały, tu wiatr donosi pieśń naszego ludu, tu zatkwiona jest kotwica naszych wspomnień i naszych nadziei.

185

V.

Lecz tam, gdzie bujne wody licznych rzek do Bałtyku idą, rozsypał się, potoczył po granitowem podłożu ziem tych cały sznur modrych i srebrzystych pereł, cały system małych i dużych jezior, od Odry po Niemen, od Niemna po Dźwinę, tworząc wielkie pojezierza nasze. Dźwiga się tu przychylona ku morzu ziemia, zsiada, tężeje w położystą a silną wyżynę, odziewa się runem wrzosowisk, cieniem buków, cisów, modrzewi i na ogromnej przestrzeni zasnuwa swą szatę przepysznym haftem wodnych arabesek. Tysiąc strumieni gra tu, świeci, brzęczy, nie wiedzieć, skąd się bierze, nie wiedzieć, gdzie ginie. Rzeki się snują, przędą, brną przez jeziora, z zatajonych źródlisk, wypływają z nich, chowają się w nie, giną.

Całe to pojezierze pomorskie, pruskie, żmujdzkie, kurlandzkie, inflanckie, litewskie, to jedna wielka rzeczpospolita wszelakiej nacyi wodnej. Tłum szary, często bezimienny, mnogością swą wyciskający silne piętno na całej dziedzinie.

Nad tłumem tym panują wielkie Śniardwy litewskie, panuje Narocz, Wigry, Sajno, Duś, Rozpuda, tworząc potężne oka tej olbrzymiej sieci.

Niektóre z jezior, zarosłe w ostrowy, jak Trockie, stanowią świat osobliwy, lądowo-wodny, na który ten puszcza się z kosą, ów z siecią. Inne po starych torfowiskach stoją otrzęsione bagiennym powrzosem, tajemnicze, senne. Jeszcze inne — a typ ten najczęściej się powtarza — jakaś jedna, druga rzeka nawłóczy jak paciorki na srebrną nić swoją. Tam czółno rybacze wychyla się z krętego brzegowiska na jasne obrusy wodne, olśnie od ich świetlistych przeźroczy i znów przepada w mrocznych szuwarem zarosłych przesmykach.

A nad całą tą krainą unosi się szmer i ruch wód, jako ton naczelny, przebijany różnorzeczem ptasich gromad, przy wiosennych zlotach. Tam dumają czaple na widetach swoich; tam dziki łabędź gniazdo ściele; a pod bladem słońcem jesiennem wiążą się łańcuchy żurawi, z jękiem lecące na wyraj przez śródniebne drogi.

Ale kiedy pełnia miesięczna rozkwitnie nad ziemią, kiedy runie drżącą poświatą na jeziorne wody, z głębin ich biją dzwony zatopionych grodów, a topielice wynikają z toni w rozlotnych oparach.

Wtedy to po trockiem rozwalisku starej chwały przesuwa się olbrzymi, zbrojny cień Kiejstuta; wtedy zadumana Świteź w srebrną harfę trąca i śpiewa nieśmiertelną pieśń Wajdeloty swego. A Litwa słucha...

Ten kraj zatajony, leśny a jeziorny, w niewymownej smętności swych piasków, swych borów, zdaje się istotnie nasłuchiwać czegoś. Jakichś ech przeszłości, które podają dębom dęby, bukom buki; jakiegoś złotego rogu, mającego rozbrzmieć pobudką... na świtaniu jutra.

I stoją w tem zasłuchaniu okryte runią łany i pagóry bielące skróś rzadkich traw piaszczystem żebrem i wielkie wrzosowiska, porosłe karłowatą sosną, jałowcem, i błonia przetkane kwieciem. Słuchają zaścianki, owe to po staremu czujne »okolice«, twardo przy honorze rodów swych stojące, gdzie zagon dotąd w kształt krzywej szabli orany bywa; gdzie twarz sroga, a serce miękkie, rzewne, gdzie ręka zapalczywa, a w oku łzy prędkie, gorące.

Słuchają nadewszystko odwieczne, niezbrodzone w głębinach swych bory.

Gdy bór litewski obejdzie w tajniach swoich niewymowną ciszą, gdy rude pnie jego sosen, zataiwszy dech w samym rdzeniu i w osierdziu życia, stoją wyprostowane, zwarte w groźne, milczące szeregi; gdy ostre kopie świerków sterczą w niebo nieruchomo, uparcie, w wytężeniu wszystkich sił żywotnych; kiedy proporce zwisają z drzewców jodeł tajemniczo skry-

cie, kiedy pióropusze zieleni hardo się zakędzierzą u hełmów koron i wierzchołów, wtedy nieschodzone, borowe tajnie Litwy zdają się jedną twierdzą, której załoga czuwa, i słucha, i czeka.

Może coś idzie, coś bliży się z daleka, z daleka...

Może hasło, może ciche zawołanie dni przyszłych...

Może kroki wroga...

I oto budzą się odwieczne instynkty tych borowych dziedzin. Wszystko prze do zaczajenia się, zatajenia w sobie. Pierś ziemi głęboko ukrywa potężne bicie swych żył, swoich pulsów. Mgła nadwodna, jak opuszczona powieka, tłumi blask wielkich jezior, srebrnych źrenic Litwy. Niezgłębione grzęzwy i moczary zasnuwa tuman mroczny oparzelisk. Łężne i polne przestrzenie zawściągają dech żywy i leżą senne, martwe, letargiczne.

Wszystko się utaja, wszystko nasłuchuje nieufnie. Wszystko się zbroi w moce; wszystko się sposobi do jakiejś walki olbrzymów, do jakiegoś namiętnego oporu; do oporu na śmierć i na amen.

Życie narasta na życiu; jego siły wzmagają się i mnożą; pokolenia dębów i sosen kładą się zawałami puszczańskich zasieków.

Niezmierne rozlewiska wodne tu ówdzie tylko błyskają w lesistych pomrokach szybą otwartą, jasną, drążąc sobie tajemnicze podziemne drogi i przechody. Szerokie płachty wrzosowisk nakrywają piaski pełne okrzosków z prawieka; dymy chat kurnych tłuką się pod szarym powałem, nie dając wejrzeć oku do wnętrza przejętego smolną i żywiczną wonią. Jakaś skupiona, tajna, jakaś cicha praca samej natury ziem tych idzie spodem życia. Nic się tu nie rzuca w oczy, nie błyszczy, nie świeci.

Spojrzysz na ziemię — aliści czujesz ją mocną, oporną i nieugłaskaną. Spojrzysz na ludzi, aliści ujrzysz twardość i skrytość pierwszego wejrzenia.

Życie ma tu tak samo jak puszcza swoje mateczniki niedostępne zgoła. Gdzieś ptak zerwie się lotem i rozśpiewa ciszę; gdzieś kalina zajarzy koralem; gdzieś głos niewieści zawiedzie przeciągłą, prostą nutą prapogańskiej Dajny; gdzieś młode serce buchnie warem krwi niecierpliwej, gniewnej; gdzieś grom zahuczy, trzaśnie, rozkryje błyskawicą borowe ciemnice, gdzieś wicher się zerwie, zahuczy, zajęczy, zawyje.

Ale te porywy, te łuny, wybuchy przemijają bez trwalszego piętna; a na obliczu Litwy znów osiada cisza zasłuchania.

I ten-ci jest najgłębszy, najogólniejszy rys tego pięknego, acz przyćmionego pomroku borów i losów oblicza.

Noszą go miasta i wioski, noszą go wielcy i mali, nosi go przeszłość daleka i obecność bolesna, paląca.

Świadomie i nieświadomie, beznadziejnie i ufnie, czynnie i biernie, namiętnie i bezwolnie Litwa czeka, słucha...

Na szerokich polach i na głazach ostrobramskiego ołtarza, w pracy i w modłach strzelistych, w cichych rozmowach na ulicach Wilna, w borowych szumach swych odwiecznych włości, w omdlałych dniach bezczynu i w płomiennych snach nocy Litwa czeka, słucha...

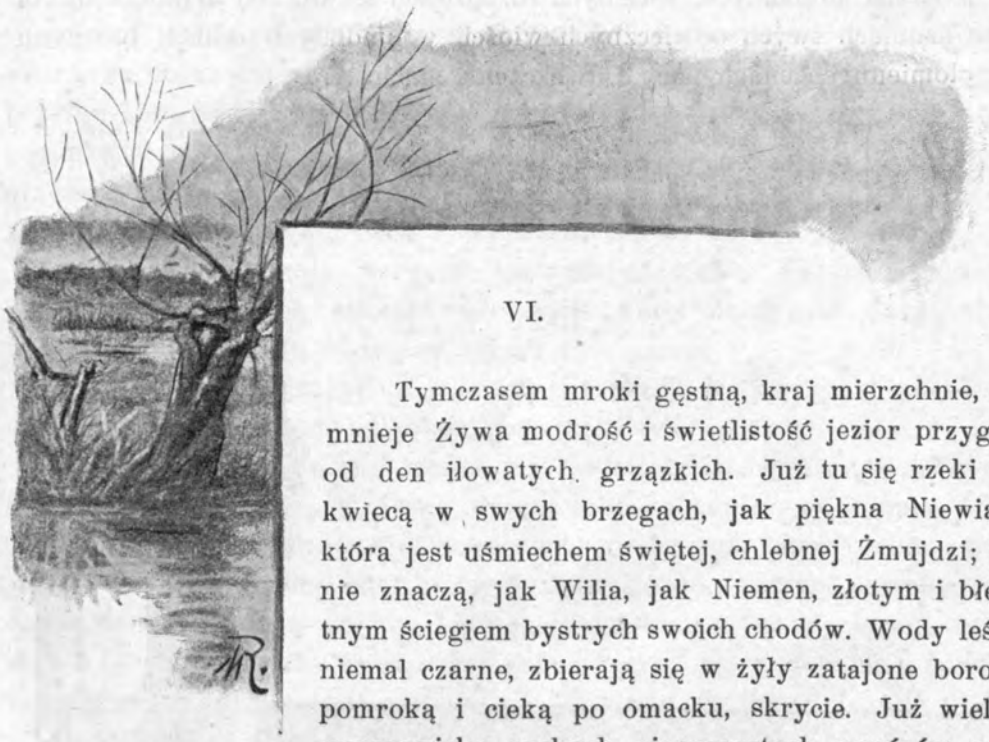

## VI.

Tymczasem mroki gęstną, kraj mierzchnie, ciemnieje Żywa modrość i świetlistość jezior przygasa od den iłowatych grząskich. Już tu się rzeki nie kwiecą w swych brzegach, jak piękna Niewiaza, która jest uśmiechem świętej, chlebnej Żmujdzi; już nie znaczą, jak Wilia, jak Niemen, złotym i błękitnym ściegiem bystrych swoich chodów. Wody leśne, niemal czarne, zbierają się w żyły zatajone borową pomroką i cieką po omacku, skrycie. Już wielkie wrzosowiska suchych piaszczystych pagórów ustępują rudym bagiennym powrzosom. Już na podmiękłych łąkach sterczą coraz twardsze gęsto w sit ostry przeradzające się trawy. Już krzaczaste kępy łozin wżerają się coraz głębiej w zapaszyste błonia, wypierając macierzanki i turzyce wonne.

Ogromne bory starej Litwy, na górnym trzonie zaniemeńskim siadłe, schodzą ze swego podniesienia w kraj nizki, zapadły, który iż ich potęgi żadną miarą zdzierżeć nie jest mocny, muszą się w pochodzie swoim dzielić i rozdrabniać. Jeszcze po Berezynę falują litewskie wzgórza; jeszcze się tu ziemia dźwiga, jak może, podając czoło słońcu. Zaczem zwarty rdzeń jej wolnieje, rozrabia się, topnie, a moczary bagniste biorą nad nim przewał. Tu już jak oko puścić, świat staje się najosobliwszą plątaniną rzek i rzeczek, z których każda zadzierzguje gęste oka sieci wód mnogich, jaka

nakrywa tę najgłębszą zapadłość ziem naszych, ową to kotlinę poleską, wiecznie tchem oparów dymiącą. Wszystko tu inne i własne. Zwierz, ptak, przyodziewa ziemi, kolor obłoków, chody chmur, głosy wichrów samopas lecących, a także człowiek i obyczaj jego. Świat tu zamknięty w sobie własną swą naturą, niełatwo dopuszczający do tajników swoich. Świat oparzelisk, mateczników, odeszłych kęp, zapustów leśnych, oblanych rzecznemi łachami ostrowów, a nadewszystko świat bagnistych zapaści, wśród których siedzą silnie zwarte łozy, wilczych lęgów pełne.

Łozy te, te warownie wilcze, do których dostępu ludzkiej nodze czasu lata niema, pokazują ciekawe widowisko na twardej jesieni. Już ługi podmarzłe nie puszczają pary, już ostre, pożółkłe sity i szuwary sterczą jak sierć na nich, kiedy tu, to tam, na szerokich, dalekich przestrzeniach, zaczynają świecić gęste, żywe ognie.

To Poleszuk wypala w łozach wilcze gniazda. Zrazu pełzną ognie zżółkłemi trawami sycone, nizko, tuż przy ziemi, sycząc jak zły gad i kłębiąc się w sobie. Aż gdy dopadną tęższej, zwartszej żertwy i buchną po łozach, kiedy się zakędzierzą i zakręcą w miotły, lecąc powietrzem, jak ogniste race, wtedy całe okolice wyglądają jakby morze ognia. A tuż wicher lodowy zadmie, zaśwista, zahuczy, podbije, rozżarzy owe mietlice czerwone, pomiecie, popędzi one iskrzaste dymy i razem z uciekającym zwierzem wyje, tarza się, szaleje.

Niejedno tam półkurcze trzaśnie wtedy z cicha, a psi po opłotkach zanoszą się dzikim skowytem, zaczuwszy ciekające między ogniami gniazd swoich wilczury. Wtedy to trzeba widzieć te oczerety i te żyły wodne, jak grają wymalowane łunami pożarów. Wtedy te miałkie, posępne bagna i zapady, obrzeżane czerwienią płonących twierdz wilczych.

A od ognia do ognia dmie lękliwa surma, której głos odbity setnem echem w »chwozdkach« i »rozświetlach« dodaje przerażenia tym dzikim widokom.

Surma — to głos Polesia i głos Poleszuka.

Jej rozciągły, jednostajny, na trzech czy czterech tonach oparty obzew powtarza się niezmiennie — kto wie, od wieków może, tą samą posępną i niezbytą nutą na wydanie smutku i radości życia.

I wsiąka ów obzew jednostajny, rozciągły, w opary bagien, w zatajone zacisza borowe, brzmiąc szeroko, daleko, o wieczornej i porannej zorzy i w krótkiej gamie westchnienia czy jęku wypowiada duszę tego ludu, jest jakby przyrodzonym jej wyrazem. Dużo tu się zmieniło od tych da-

wnych czasów, kiedy taką wykręconą z młodej osiki trombitą zwoływały się, czasu niebezpieczeństwa, rody Poleszuków po ostępach i borach osiadłe. Przetrzebione są bory, osuszone bagna, puszczone kanałami wód cieki; miasta porosły i zmarniały, niedźwiedź ustąpił przed hukiem toporów z natrzęsionych po chaszczach barłogów; z mnogich niegdyś drapieżców jeden ryś tylko zasiada na zbójeckich czatach, a w tym okrewie Poleszuka czujnym a ponurym nie zmieniło się nic, kto wie, może od czasów Wojsiełka, o którym wieść powiada, iż uchrony przed postrzyżynami w czerńce szukając, tu się był zaszył w bagniste, niezbrodzone puszcze. Nie zmieniło się wiele i w doli, niedoli. Jaka dola, taka pieśń, która jest jej głosem.

Od kolebki wiszącej u pułapu kurnej chaty, pod powałą dymów, jak pod siwą chmurą do mogiły, nad którą stoi krzyż ogromny, z co najwyższej jodły ciosany, wśród innych krzyżów cmentarza, co są jako wielki las bezlistny, na jesiennym wichrze skrzypiący, dola idzie tu z ojca na syna twardą ciężką schedą. Te woły po młakach grzęznące, te skąpe ziemie, gdzie Poleszuk na mokrym jeszcze zagonie przygarść słomy po siewie skraja kładzie, żeby Pan Jezus, gdy zejdzie rolę przeżegnać, stóp świętych nie zamaczał sobie; — ta febra zaczajona w bagiennych oparach, która szpik w kościach trawi i wypala; te niedostępne, potracone między łachami rzek »Zachody«, na które pastuch gdy z dobytkiem zajdzie, dziczeje bez ludzkiej i twarzy i warzy; te gryzące dymy smolarni, które wyżerają oczy, — wszystko to przekazuje się z wieku na wiek, z pokolenia na pokolenie, cierpliwie, biernie, milcząco. Bo jeśli dola twarda, to i dusza tu twarda i nieprzełamana; a co w niej skargi i żałości, to tylko surma wypowiada w roznośnym, przeciągłym jęku.

Głodny Poleszuk rybą dojada, czego chleb uskąpi; a po resztę idzie do boru.

Tam-to jesienią rozwloką się dymy budników pędzących smołę i dziegieć. Tam ostre wonie żywiczne, poczerniałe twarze, skołtunione głowy, tam snopy iskrzaste za wiatrem jesiennym noszone, tam ognie i ponocne straże dla odstraszenia zwierza; tam skąpe słowo, twarde życie i myśl stłuczona, stłumiona. Stamtąd to niesie Pina, Prypeć, Mozyr całe dubasy całe suhaleje klepki i gontu; stamtąd Pińczuk jak borsuk norowy, rzadko się wychyla do miast, chytry jak wijun i zaparty w swoim obyczaju, że wieki mijają, a on zawsze ten sam, ku żadnej zmianie nieskłonny, na umór przy swojem stojący, pokorny, tępy na obcym sobie gruncie, zręczny i śmiały w swojej kurnej chacie, na swoich rozlewiskach i w swych smol-

nych borach. Poleszuk w ciemnej swej odzieży nie różni się prawie od kory tych drzew, z któremi razem w ziemię twardo wrasta. Jest on jakoby dalszym ciągiem tej przyrody, i zlewa się w jedno z krajobrazem, którego szarą smutną nutę sam nosi w obliczu. Bo te ziemie poleśne a wodne, mgłą przez większą część roku nakryte, nie mają w sobie wesołej barwności pól ornych, szerokich, otwartych. Od »chwozdka« do »chwozdka«, od »rozświetli« do »rozświetli« chodzi podmiękłym ługiem tuman smętku i opar zadumy. Przebije go czasem dzwon starej, poczerniałym gontem pokrytej cerkiewki, czasem głuchy stuk toporu walącego pnie smolne, najczęściej wszakże jęczy w tej mgle tu, to tam, niewidzialna surma.

Nie zna Polesia ten, kto go nie widział w wiosennym wód jego rozlewie. Kiedy z głębokich zapaści swoich wystąpi wezbrana Prypeć, kiedy Pina, Słucz, Styr, Horyń szeroko wykipią z swych brzegów; kiedy owe Stochody, Płycze, Ławie, Uborcie, Żerewie przelewają się przez wręby; kiedy tu cała plątanina wód bieży, goni się, szumi, huczy, dopada, łączy i rozłącza, kiedy wystąpią nawet z krużów swoich jeziora tej kotliny, Kniaż, Pohost, Bobrownicki, Sporawskie — wtedy nie wiesz, gdzie rzeka, gdzie bagno, gdzie susza, a cały kraj widzi się jednem wielkiem morzem, na którem sadyby ludzkie wyglądają niby drobne wyspy.

Wtedy i Poleszuka poznać w przyrodzonym mu żywiole, gdy ociężały, niezgrabny na suszy, nozdrzami wiatru tego chwyciwszy ledwie, wnet z bylejakiego pniaku czółno sobie zrządzi, i zwinnie, szybko, obrotnie kieruje niem po niezmiernych bezdrożach wodnych, od smolarni do smolarni, od boru do boru, ocknięty jakby na duszy i na ciele, i cały podany na wolę rozbudzonego instynktu tych prastarych, nawodnych plemion, z których idzie rodem. Te ziemie pod przemocą wód stojące, te rozlewiska potężne, nadające tej kotlinie właściwy jej charakter niedosuszonej zapaści starego morza; ten człowiek wyrastający sam nad siebie, gdy poczuje pod sobą dno czółna, a drąg w garści — to jest dopiero Polesie i to jest Poleszuk.

## VII.

Zaledwieś jednak pominął te światy, przebrawszy się ku wschodowi, gdzieś u Brahina czy u Czarnobyla, kiedy ci w oczy zaświeci, zajarzy Dniepr sławny, którego fale, zda się, nie wodą, ale pieśnią płyną.

Tam, het, na północ, rozciągnie ci się Ruś Biała, w zielonej krasie swych głębokich borów, w których pomruk niedźwiedzia łączy się z górnym po wierzchołach odwiecznych stołbów idącym poszumem. Tam ci ona rozbłyśnie w modrej światłości pięknych swoich jezior, które aż Inflant sięgając są jako niedonizane perły wielkich pojezierzy, jako perły potoczone gdzieś pod Toropiec, pod Uświat, pod Mieżę.

Tam ci zalinią, zamigocą bogatym ciekiem liczne, ważne rzeki; tam ci się ziemie zaprą od wschodnich granic wynioślejszym progiem; tam w śmiejących wstęgami lasach brzoza przypierać pocznie dęby, buki, potęgą rostu i siłą rdzenia.

Jakieś wielkie tchy dziejowych zdarzeń i cierpkich pamiątek, mroźno przewieją ci skróś tej dziedziny, na której siedzi Smoleńsk, Orsza, Andruszów, Hadziacz. Spojrzysz ku posadom siewierskiego Nowogrodu i posłyszysz, jak »z wieżyc Putywla płacze Jarosławna« i poczujesz, że chodzą tu jeszcze duchy niespokojne i duchy burzliwe, które się nie wygrzmiały i nie wybłyskały ostateczną burzą z ogniów starodawnych, aż dziś są ciche i jakby uśpione.

VIII.

Ale skoro się od tych dzierżaw ku południowi odwrócisz, zasinią ci się, zatumanią na wschód i zachód Dniepru Ukrainne ziemie, a świat zatoczy się stepem po najdalsze niedojrzane krańce. I wydźwignie się step na twarde podłoże z owych zapaści grzązkich, a ziemie podane ku południo-wschodowi pocznie zmiatać potężnie wiatr suszący, buszując w ogromnych trawach samorodnej pustaci, w trawach przebujnych, na nietykanej sochą ani pługiem surowicy samopas rosnących. I roztoczą się, rozprzestrzenią szeroko nieobjęte okiem dale, i ogarnie cię świat nowy zgoła, i nowy wiatr duszę ci obwieje.

Tu poszumy niekiełznane idą stepem, niby wielkiem morzem, a trawa idzie jak fala, a poświst gra w bodziakach pieśń dziką, a orzeł kracze nad głową, a czerwona miesięczna pełnia wstaje gdzieś nad kurhanami i nagle step krwawo oświeca.

Lecz rankiem i cichą pogodą zawabią cię, zaczarują te niezmierne sine dale, urokiem swobody i tęsknoty razem. Coś prze, coś woła, coś duszę z piersi wyrywa. Szedłbyś przez te burzany, którymi cichy dech wiatru przewiewa aż tam, gdzie tuman mglisty łączy się z nieba okrajem; szedłbyś od krzyża do krzyża, od mogiły do mogiły, nasłuchując ciszy, która się tu uczyniła po śmiertelnej wrzawie sławnych zapasów bohaterskich. Jeszcze tu ówdzie lirnik przysiądzie, zakręci rączkę u liry i zawiedzie starosławną dumę; jeszcze czajka kozaka zachluśnie, zakrąży po

Dnieprze; jeszcze koń zadrży, zatętni od Stawiszcz; jeszcze Kijów rozbłyśnie złotą bramą: ale to już nie to, nie to...

Smutek rzeczy skończonych i które nie wrócą, chodzi stepem ukrainnym, szeroką, nieogarnioną wzrokiem pustką, nie mający gdzie spocząć chyba, że w mogile. Ten smutek wspomnień, to jest dusza stepu.

Z niego lira ślepca bierze natchnienie swoje, nim dyszy omglony tuman i nim wtórzy Dniepr potężnym szumem, w nim tają się wszystkie złote ziarna pieśni, które się tu rozkwieciły czarodziejską dumą. Na całej dziedzinie ziem naszych niema tak cudnie ośpiewanej przeszłości i ludowej doli, jak jest ośpiewana na tej Ukrainie.

Step, Dniepr, i pieśń — oto jest jej dusza, jej wyraz, jej życie.

A tam, gdzie rzeki rozpruły, rozszarpały ziemie, aż do ich skalnego podłoża, siedzą w głębokich jarach zatajone futory. Nakryte szumem jaworów i oświetlone czerwienią kalin, rozzielenione sadami, gdzie dotąd śpiewa dziewczyna o mołodeckiej sławie Ukrainy.

Ale Dniepr wzmaga się, natęża, przyspiesza wartu, zanosi się coraz potężniejszym gniewem, aż zagrzmi, zahuczy w skaliste porohy, i buchnie po nich burzą nawalną wód rozbitych, rozlanych w piany. Widok ogromny i zachwycający. Jak gdyby pieśń głosem śpiewana się urwie, a orkiestra w bębny i szele uderzy z piorunową siłą — tak Dniepr urywa nagle przeciągłe swe szumy, i z stugromową salwą pędzi przez łeb potwornego Nienaszyńca, z progu na próg, z głazu na głaz, waląc w kotły i trąby, uczynione przez siebie w odwiecznych, od dni potopu zwalonych tu skałach.

Aż się zmęczy, przesili, omdleje w słonych Limanach, i wielkiem odlewiskiem dotoczy swe wody do Czarnego morza. Aż dojdą tu ziemie nasze przyrodzonej granicy i miary, i przyniżą się ku ostatniemu okrajowi swemu. A u okraja tego stanie morze w swych potężnych szumach, i strzedz będzie granic tych, bijąc w nie srebrną tarczą na znak i na dobre prawo. Tymczasem ograniczne, podolne dziedziny, warszty na warszty czarnoziemu kładą, aż się wydźwigną potężnym połogiem, i ku południowi spad wezmą. Wnet się tam rzeki przechybną tym działem ku czarnomorskiej zapaści, wnet się od Bałtyku odwrócą, wezmą wagę, gdzie je pęd poniesie, prując głębokie łożysko w tłustych ciężkich ziemiach aż do jej żywej samorodnej skały, która im się podłożem usłała.

Ta praca wód, te brzegi szarpane, darte, te falujące pagórkami ziemie, te wielkie pasze, te łany i ługi; te tchy czarnomorskie, które aż tu wiatr ciepły nosi, wszystko to tworzy świat osobny i pełen uroków.

Tu najpiękniejsze cieki rzek, wijących się kręto po kamiennych żebrach wód skalnych; tu jary zasnute srebrnym pyłem, tu roztoki potężne, tu ziemie ociężałe w bogactwie swych płodów.

Cała ta połać ziem naszych między Dnieprem i Dniestrem, od Krzemieńczuga do Chocimia — zamknięta, a przypierająca do Besarabskich stepów, cała ta podolna kraina jest żywą panoramą osobliwszej krasy. Ale na zachód płaskowyż ten zwolna się łamie, faluje, wznosi, zapada, utraca spokój swoich ziem połogich razem z ich niesłychaną płodnością i wkracza w dziedziny borowe.

I mroczy się świat, i cień głęboki, surowy, odcina się od złocistych łanów. A bory idą hardo zwarte, górnie, wyniośle, czując rosnącą potęgę dzikiej swej piękności.

Tu siadły grody Czerwienne, tu Ruś Czerwona ociera się o chlebne Pokucie i o Huculszczyznę, tu rwący Prut grzmi po kamiennem podłożu, tu Seret, tu Czeremosz się srebrzą. Aż świat się dźwignie, rozpiętrzy, zaskali, zamodrzeje ciemną linią na otoku nieba, wstąpi na podgórza, na hale, na regle, aż buchnie szczytem omglonym, poszarpanym, dzikim. I oto staną przed nami Tatry, potężna zawora ziem polskich. Tu ci jest moc ich i jądro. Tu jest wybuch jej potęgi i dzikiego piękna. Tu utwierdzenie, na którem sparło się było onych zamierzchłych wieków prastare morze owo, z którego się wyłuskała cała ta kraina. To morze, które dotąd błyska w Tatrach naszych swojem jasnem Okiem, tutaj to ziemie nasze polne, otworzyste, przykłonione dostępnie wszelakiemu życiu, biorą na lico rys ostry, surowy, i zamarszczają granitowe czoło.

Świat chmurny, zmroczony, surowa granitowa karta, dopełniająca przedziwnie polny krajobraz ziem naszych.

Hej pola wy, pola! Hej łany wy, łany! Oto staję przed wami, jak przed skarbnicą przeszłości i przyszłości naszej, jako przed arką pełną żywego ducha narodu. Czy na was pojrzę na zaraniu wiosny wśród huku pękających lodów, wśród szumu rzek naszych do dna mórz lecących; czyli żniw czasu stanę na waszych niwach i roztoczach zbożami złotych, kłosowym szumem głośnych; czyli jesień wymaluje mi w oczach bory wasze w królewskie mákaty, a puszcze wasze napełni porykiem zwierza; czyli zapadnę w knieje twych ostępów leśnych, czyli w kipielach wód twoich zabrodzę; czyli mnie osrebrzą światła jezior twoich, czy step twój kurhanami zagada; czy zima Tatrom twoim śnieżne hełmy wdzieje i puści wichry po czeluściach skalnych — zawsze ty jedna Matko, i zawsze umiłowana i święta, i zawsze cała w duszy twego ludu!

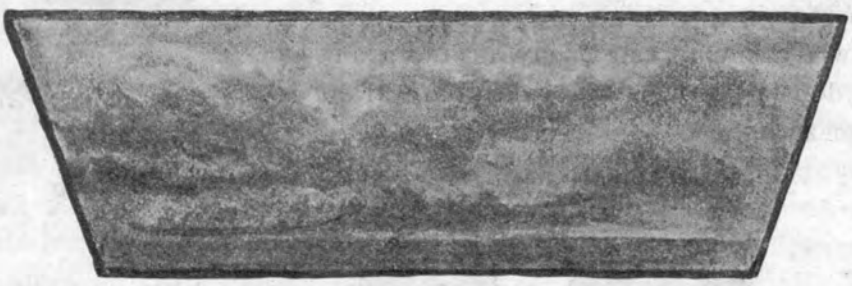

185